

Jan Tomkowski: Polska szkoła eseju. Refleksje i pomówienia

Splot rozmaitych okoliczności sprawił, że polski esej rodził się między książką a gazetą. Giedroyciowi bliższa była niewątpliwie publicystyka dziennikarska, jego autorom – literatura piękna. To połączenie, czasem obiecujące, innym razem nieco kłopotliwe, dało bez wątpienia interesujące rezultaty – pisze prof. Jan Tomkowski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Montaigne. Czyli o sztuce eseju”.

Kilkanaście lat temu wykladałem na warszawskim dziennikarstwie i kiedy podczas rady naukowej wystąpiłem w obronie pewnej doktorantki, dowiedziałem się, że pojęcie polskiej szkoły eseju w ogóle nie istnieje. Polemiką kierował wydziałowy prominent i – jak dowiedziałem się później – doradca ówczesnego prezydenta RP. Po wyczerpaniu argumentów, zagroził nawet odebraniem mi głosu.

Atak przyjąłem ze zdziwieniem, bo pytanie o polską szkołę eseju padało już wówczas na egzaminach maturalnych, używali go nawet moi studenci. Co do kompetencji owego luminarza nauki, nie chcę się wypowiadać. Dodam tylko (ze złośliwą satysfakcją), że prezydent, któremu doradzał, przepadł w kolejnych wyborach.

Jeśli chodzi o mnie, to wywołującego takie emocje terminu używam mniej więcej od trzydziestu lat i przyznaję z ręką na sercu, że to nie ja go wymyśliłem. Wydaje mi się, że stanowi część polonistycznej edukacji, że jest potrzebny, a nawet konieczny – zwłaszcza od chwili, gdy przestaliśmy uważać esej za gatunek marginalny, uprawiany przez poetów, którym akurat nie dopisuje natchnienie albo prozaików zmagających się z materią powieściową. Mimo wszystko wciąż oswajamy się z myślą, że można zostać wielkim pisarzem, nie wydając powieści ani zbiorów poetyckich, bo również niejeden tekst eseistyczny zasługuje na miano arcydzieła.

Niektórzy badacze doszukują się genezy polskiego eseju w epoce oświeceniowej, a nawet jeszcze wcześniej, w czasach staropolskich. Układając pierwszą antologię polskiego eseju literackiego dla serii „Biblioteka Narodowa”, wolałem zacząć od Norwida, podkreślając symboliczny patronat twórcy *Czarnych i Białych kwiatów*. Ten genialny artysta uważany jest za prekursora liryki nowoczesnej, ale i w prozie czy dramacie jego inspiracje trudne są do przecenienia.

Norwid był jednak samotnikiem – bardziej w literaturze niż w życiu osobistym. Nie mógł stworzyć szkoły, nawet najbardziej nieformalnej. Nie był wprawdzie postacią zapomnianą, jak głosi stereotyp, ale odczytanie jego dzieła zajęło potomnym co najmniej kilka dziesiątków lat.

Mistrzem i prawodawcą polskiej szkoły stał się Jerzy Stempowski, za życia autor tylko dwóch większych książek – *Esejów dla Kasandry* i *Od Berdyczowa do Rzymu*. To dzięki niemu polski esej różni się tak bardzo

od eseju francuskiego, włoskiego czy niemieckiego. Niektórzy łączą ten fenomen z gawędą szlachecką, niepowtarzalną i nieobecną w innych literaturach europejskich. Sugestia o tyle słuszna, że w obu gatunkach mamy do czynienia ze zjawiskiem, które określam mianem „gubienia tematu” – właśnie za to krytykował niegdyś Stempowskiego niezwykle popularny i w kraju, i na emigracji Stanisław Cat Mackiewicz (wcale nie wolny od identycznej pokusy!). A mistrzem w nieustannym odwracaniu biegu opowieści był naturalnie Zygmunt Haupt.

Polska szkoła eseju rodziła się w niezupełnie naturalnych warunkach, bo chociaż osobowość Stempowskiego już w okresie międzywojennym intrygowała młodszych autorów, choćby takich jak Bolesław Miciński czy Gustaw Herling-Grudziński, to dopiero po II wojnie światowej ukazały się najważniejsze utwory z tego kręgu. Wielką w tym zasługą Jerzego Giedroycia, który nie tylko otworzył jak najszerzej łamy paryskiej „Kultury” dla eseistycznych dokonań, ale również zaryzykował wydawanie na emigracji zbiorów Stempowskiego, Czapskiego, Miłosza, Wittlina. Z dzisiejszej perspektywy trudno to może zauważyć, ale przecież esej uważano zawsze za gatunek elitarny, a więc – jak powiedzielibyśmy dzisiaj – nie wróżący komercyjnych osiągnięć.

Splot rozmaitych okoliczności sprawił, że polski esej rodził się między książką a gazetą. Redaktorowi naczelnemu bliższa była niewątpliwie publicystyka dziennikarska, jego autorom – literatura piękna. To połączenie, czasem obiecujące, innym razem nieco kłopotliwe, dało bez wątplenia interesujące rezultaty. Jakkolwiek emigracyjni eseści musieli zdawać sobie sprawę z presji komunistycznej propagandy w kraju, ich utwory były zawsze manifestacją swobody i niezależności. Wyrażały protest przeciwko wszelkim postaciom totalitaryzmu, ale nie

reprezentowały jakiegoś określonego kierunku politycznego. W stosunku do wielu kwestii Giedroyc, Stempowski, Herling-Grudziński albo Czapski zachowali własny, często jakże odmienny punkt widzenia.

Jakkolwiek emigracyjni eseści musieli zdawać sobie sprawę z presji komunistycznej propagandy w kraju, ich utwory były zawsze manifestacją swobody i niezależności

Wśród przedstawicieli polskiej szkoły eseju znajdziemy wielkie indywidualności – obok autorów, dla których esej stał się podstawowym, a nawet jedynym uprawianym

gatunkiem, spotkamy poetów i prozaików, a także ludzi sztuki. Do najwszechstronniejszych należał zapewne Józef Wittlin, ważny jako poeta i powieściopisarz, ale także tłumacz *Odysei*. Eseistą komplikującym nieco nakreślony wyżej obraz był Jan Kott, niegdyś uczeń Stempowskiego, później entuzjasta marksistowskiej ideologii, po 1966 roku emigrant, którego teksty o Szekspirze i tragedii antycznej zyskały uznanie nie tylko wśród polskich czytelników.

Eseje dla Kasandry Jerzego Stempowskiego, *Portret Kanta* Bolesława Micińskiego, *Orfeusz w piekle XX wieku* Józefa Wittlina, *Drugie przyjscie* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Tumult i widma* Józefa Czapskiego, *Ziemia Ulro* Czesława Miłosza. Wyliczenie przypadkowe i niekompletne, a przecież nie mam żadnych wątpliwości, że te książki należą dziś do kanonu literatury polskiej i zmieniły jej kształt, wyznaczyły jej tożsamość. No i doczekały się twórczych kontynuacji – wystarczy przywołać w tym miejscu choćby nazwisko zmarłego

niedawno Wojciecha Karpińskiego. Polski esej uczył nie tylko miłości do sztuki i entuzjazmu dla podróży, lecz nade wszystko – humanizmu i tolerancji.

Jak się jednak okazuje, w tym nietrwałym świecie nic nie jest nam z góry dane (poza śmiercią, która jest nieunikniona, rzecz jasna). Wszystko trzeba wywalczyć, a potem obronić i ten trud naprawdę nie ma chyba końca.

Polski esej uczył nie tylko miłości do sztuki i entuzjazmu dla podróży, lecz nade wszystko – humanizmu i tolerancji

Kilka lat temu uczestniczyłem w promocji mojej antologii polskiego eseju literackiego. Kto wziął do ręki tę liczącą ponad tysiąc stron książkę, ten

wie, że autor starał się w niej pokazać różne nurty, gromadząc teksty najwybitniejsze. Tego mu nie darowano, podsuwając katalog nazwisk działaczek feministycznych. Bo antologia eseju wydana w Bibliotece Narodowej powinna być oczywiście antologią polskiego feminizmu, jako „wyjątek potwierdzający regułę” powinna znaleźć się tu nawet Virginia Woolf, która wprawdzie nie pisała po polsku, ale „angielski przecież wszyscy znają.”

Do podobnej antologii nie mają natomiast prawa wstępu Norwid, Herbert, Miłosz, Rymkiewicz – żaden z wymienionych nie był przecież feministką.

Incydent może niegodny uwagi, lecz dwudziestowieczna historia uczy nas, że wiele represyjnych systemów zaczynało się od podobnych, błażych i śmiesznych zdarzeń, niesłusznie lekceważonych i traktowanych w kategoriach ekscentrycznego folkloru...

prof. Jan Tomkowski

Foto: Domena publiczna

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego